

Różewicz *noir*

AUTOR: HENRYK MAZURKIEWICZ

Różewicz nie zejdzie ze sceny aż do samego finału. Tak samo jak siedząca na drugim jej krańcu Stara Kobieta, w którą wcielił się Bogdan Koca. Rolą tą aktor powraca na scenę Teatru Polskiego we Wrocławiu, gdzie zadebiutował jeszcze w 1976 roku.

■ Przed nami stara dworcowa kawiarnia wielkości głównej sceny Teatru Polskiego we Wrocławiu. Jak chciał Różewicz, jest tu „dużo stolików i krzeseł”, tylko że nie „z metalu, szkła i kolorowych tworzyw”, lecz z taniego, pomalowanego na czarno drewna. Dlatego nie świeci się, nie iskrzy i nie lśni. Grzegorz Bral upodobał sobie zupełnie inną estetykę. Jego spektakl wypełniają obrazy dziwaczne i groteskowe, lecz nigdy kiczowate czy pokraczne. Nawet powstały na sam koniec śmietnik, dzięki spuszczonej na sztankietach kolumnom książek, wygląda na dedykowaną epoce papieru świątynię. Większość gości ubranych jest w skromne, starannie dobrane i ładnie skrojone kostiumy, zaprojektowane, jak i scenografia, przez Elżbietę Terlikowską. Kolory przytłumione. Światło lekko przyciemnione. Ze sceny wieje tajemniczością, melancholią i elegancją.

Różewicz *noir*. Zwłaszcza jeżeli spojrzeć na samego dramaturga. To znaczy na postać nazwaną w notce programowej Różewiczem i graną przez Katarzynę Janekowicz. Górne guziki jej białej koszuli są rozpięte. Krawat poluzowany. Przy boku, niczym kabura na pistolet, zawisł skórzany przyborek pisarski. Przypomina detektywa z epoki czarno-białego kina, a nie poetę ze słynnego wiersza. Nie zakrywa twarzy. Widocznie nie dojrzała jeszcze do tego trudnego zadania nicnierobienia, do robienia NIC. Nie widzi więc wyraźnie tych, co wybrali działania. Sama działa. I to w jakiejś gorączce, twórczym ferworze. Szybko stuka palcami po klawiszach masywnej maszyny do pisania, jakby grała na fortepianie. Powstające dźwięki rzeczywiście układają się w osobliwą melodię, która nadaje rytm

przedstawieniu. Każde zapisane przez nią słowo materializuje się tuż obok na scenie. Choć – nie bez oporu. Aktorzy spełniają polecenia – od których roi się w rozbudowanych i drobiazgowych didaskaliach – dość niedbale. Niekiedy wręcz wydaje się, że swoim zachowaniem sabotują i chcą wywracać intencje autora. Ten jednak nie zamierza ustępować. Prowadzi swoje „śledztwo”, zdanie po zdaniu kreując świat przedstawiony. Wysłuchuje „świadków”, sprawdza ich „alibi”, proponuje swoje wersje wydarzeń.

Różewicz nie zejdzie ze sceny aż do samego finału. Tak samo jak siedząca na drugim jej krańcu Stara Kobieta, w którą wcielił się Bogdan Koca. Rolą tą aktor powraca na scenę Teatru Polskiego we Wrocławiu, gdzie zadebiutował jeszcze w 1976 roku. W międzyczasie wyjechał na emigrację do Australii, wrócił do kraju, pracował jako reżyser we Wrocławskim Teatrze Pantomimy i dyrektor Teatru im. Cypriana Kamila Norwida w Jeleniej Górze. W ostatnich zaś latach grał u Brala w prowadzonym przez niego Teatrze Pieśń Kozła. Pojawił się w *Hamlecie – komentarzu*, *Anty-Gone* i *Wielkim Inkwizytorze*, które to przedstawienie można uznać za popisowy recital aktorski Kocy.

Zadziwiające, lecz jego Stara Kobieta ma w sobie coś z wymyślonej przez Dostojewskiego postaci. Jest zarazem groźna i tragiczna. Kumuluje w sobie wiele racji i jeszcze więcej sprzeczności. Zmieniła tylko skromny habit na dziwaczną czarną suknię, jakby uszytą z tego, co odnaleziono w zakurzonych zakamarkach magazynu teatralnego. Wygląda jak *drag queen* po przejściach albo ekstrawagancka burdelmama. Rzeczywiście wysiaduje, wypuszczając w przestrzeń słowa macki i rozko-

szując się mocą sprawczą własnego głosu. Istna Caryca na wygnaniu, która domaga się, by ją pieszczono i dopieszczano. Chociażby podwójną, potrójną porcją cukru w herbacie. Ta „jesień Matriarchini”, rozpisana na słowne pojedynki z dwójką fajtlapowatych, śmieszno-żałosnych, lecz nie sięgających do kieszeni po ciętą ripostę kelnerów, zdominuje pierwszą część przedstawienia. Marcin Piejaś i Igor Kowalik w slapstickowej manierze odgrywają i ogrywają własne rozdarcie między kuriozalnymi rozkazami swojej wymagającej klientki a poleceniami Janekowicz, jak dokładnie należy je spełniać.

Tymczasem powoli aktywizuje się i ożywa drugi plan. Wydaje się jednak, że dla tego korowodu sugestywnych postaci bezpieczniej byłoby pozostać galerią zastygłych portretów. Bo świat, który mają zasiedlić, naznaczony jest rozpadem i wyczerpaniem. Tu „każdy mówi, co mu ślina na język przyniesie. Można nucić nawet stare szlagiery, czytać ogłoszenia w gazetach, sprawozdania, nieaktualne podręczniki filozofii i historii itd.”. Na dodatek, jak w przywoływanym już wierszu, „byłe jaki Gustaw przemienia się w byłe jakiego Konrada”, a „byłe jaki felietonista w byłe jakiego moralistę”. Czyli generalnie stypa po cywilizacji, która przerobiła drzewa na książki i nie wie już teraz, czy aby na pewno na tym zyskała. Ślepiec, Pan, Lekarz, Młodzieniec, Stróż Porządku, trójka Dziewczyn przewiną się przez scenę, pozostawiając po sobie stosy śmieci i przygnębiający posmak totalnego absurdu, jałowości i miałości. Kiedy kawiarnia/plaża/poligon/nekropolia opustoszeje, obudzi się Stara Kobieta, która przysnęła była przy swoim stolicku. Koca ściągnie z głowy mon-

strualną perukę i niepewnym krokiem wyjdzie na środek proscenium, żeby zdjąć cały strój. Pod nim podstarzałe ludzkie ciało. Jakies wyjątkowo bezbronne i bezradne. Będzie to jedna z najmocniejszych scen spektaklu, której towarzyszy najpierw przeraźliwie zawołanie: „Synku, gdzie jesteś!”, a później kilkakrotnie powtórzone „tylko tyle” z wiersza *Czas na mnie*.

Bral świetnie czuje przestrzeń i perspektywę. Nie da mu się tego odmówić. Umie zadbać o piękny obrazek i rozdać każdemu dokładne zadania ruchowe. Zespół Teatru Polskiego pod jego „batutą” pokazuje całkiem niezłą formę. Najwidoczniej powoli, bo powoli, wraca do formy. Dobry jest Młodzieniec Bartosza Buławy. Uwagę przyciąga – nie tylko przez to, jak sarkastycznie zauważa w didaskaliach Różewicz, że „czyni zadość obsesjom seksualnym krytyków teatralnych” – Piękna Dziewczyna Beaty Śliwińskiej. Na osobne pochwały zasługuje muzyka na żywo w wykonaniu Dominika Gawrońskiego (flugelhorn), Grzegorza Pastuszka (tuba), Jana Chojnackiego (trąbka) i Daniela Grupy (fortepian). Towarzyszy akcji, sprawnie dopełniając jej atmosferę.

Ale cóż obrazki czy muzyka, skoro wrocławskiemu spektaklowi zabrakło wyrazistej, oryginalnej, intrygującej autorskiej interpretacji dzieła, które zgodnie zaliczamy do polskiej klasyki. Bral postawił na tekst i pozwolił wybrzmieć mu niemalże w całości. Ze wszystkimi didaskaliami, na które, dublując słowo

działaniem, musieli żywo reagować aktorzy. Zabieg ten jednak już po piętnastu minutach przestaje intrygować lub bawić. Nie za wiele bowiem z niego wynika. Nie dopowiada, podobnie jak zmiana płci Starej Kobiety, żadnych sensów, nie wzbudza dodatkowych skojarzeń. Stąd po kolejnym kwadransie zaczyna zwyczajnie męczyć. Zwłaszcza że tempo dwugodzinnego spektaklu jest iście zawrotne. Dla wszystkich gier, językowych i filozoficznych, które prowadzi z nami Różewicz (ten, którego nie ma scenie), brakuje w nim odpowiedniej interpunkcji inscenizacyjnej. Pauz i znaczącego milczenia. Przestrzeni na naszą refleksję.

Reżyser wydaje się również niezbyt przejmować tym, jak dalece w ciągu półwiecza od wydania sztuki zmieniła się wrażliwość widzów. Na niejedno zdążyliśmy się przecież zmieścić, przewijając codziennie niekończące się taśmy licznych sieci społecznościowych, gdzie ogłoszenia komercyjne sąsiadują z nekrologami, a zdjęcia wakacyjne z kroniką konfliktów zbrojnych. Różewicz zresztą ten zatrważający galimatias informacyjny – powierzchowny i pozbawiony autentycznych relacji – przewidział i wnikliwie zdiagnozował. Próbuje to robić i spektakl, tylko że nie wiadomo właściwie po co, skoro nikt w dzisiejszych czasach podobnym rozpoznaniom nie zamierza nawet zaprzeczać. Dawno już ocierają się o banał, zwykłe powtórzenie, które na scenie niewarte jest wysiłku.

A jednak Bral czyni to z wyjątkową powagą, a nawet niejakiem namaszczeniem. Twórcom *Starej kobiety...*, spektaklu po brzegi wypełnionego satyrą i zgrywą, wyraźnie zabrakło dystansu i autoironii. Lekkości i gotowości narazić się na śmieszność. Zresztą od lat brakuje tego przedstawieniom Teatru Pieśń Kozła. Zespół zaczął zamykać się w swoim dążeniu do perfekcjonizmu, narzucając widzowi jedyną możliwą formę relacji ze swymi dziełami – podziw. W przypadku Różewicza to ślepa uliczka, wręcz nieporozumienie. Ten „błazen” źle znosi wszelkie próby uczynienia z niego „kapłana”. Domaga się natomiast dialogu i polemiki. Może nawet dobrej kłótni. Nieprzypadkowo przecież nazywał swój teatr „otwartym”. Z pewnością zaś nie marzył o akademiach na swoją cześć. Nawet z okazji stulecia urodzin, które obchodziliśmy 9 października, w dniu premiery wrocławskiego przedstawienia. ■

Teatr Polski we Wrocławiu
Stara kobieta wysiaduje
 Tadeusza Różewicza
 reżyseria, inscenizacja, choreografia
 Grzegorz Bral
 scenografia, kostiumy
 Elżbieta Terlikowska
 premiera 9 października 2021

Stara kobieta wysiaduje, reż. Grzegorz Bral, Teatr Polski we Wrocławiu [2021]

